ROCZNIK XXXV. Maj-Czerwiec 1913. Nr. 5. 6.

Wychodzi we Lwowie każdego miesiąca. Wkładka roczna z prenumeratą wynosi 2 k. 40 h. Dla nauczycieli członków Tow. i uczniów tylko 1 k. 40 h. z przesyłką 1 k. 64 h.

MIESIĘCZNIK
Galicyjskiego Towarzystwa
OCHRONY ZWIERZĄT.

Administracja i ekspedycja we Lwowie ul. Grottgera 4. Wszystkie pisma wkładki i prenumeraty należy adresować do prezesa A. Mussila, ul. Karola Ludwika 7.

Organ galicyjskiego i stanisławowskiego Towarzystwa ochrony zwierząt, zostającego pod protektoratem J. E. Leona hr. Pinińskiego. Czasopismo polecone dla szkół reskryptem c. k. Rady szkolnej krajowej we Lwowie z 30 listopada 1909 L. 35.255

Redaktor: Józef Białynia Chołodecki Lwów, ul. Sykstuska l. 62.

Redakcja otwarta w dnie powszednie od 2—3 popołudniu.

Upraszamy uprzejmie o jednanie członków dla Galic. Tow. ochrony zwierząt. Wkładka roczna 2 K. 40 h.; w zamian otrzymują członkowie rocznie 12 półtoraarkuszowych zeszytów „Miesięcznika“. Zapisywać się można u prezesa Adolfa Mussila ul. Karola Ludwika 7 I. p. u wiceprezesa Józefa Białyni Chołodeckiego ul. Sykstuska 62 I. p. (od 2—3 popoł.) i u sekret. Marji Mazurkównej ul. Na Skałce 1, parter.

Józef Białynia Chołodecki.

Kilka uwag na znany temat.

Niezbitym faktem jest, że ogół przechodniów przy dręczeniu zwierząt w miejscach publicznych, albo obojętnie się tym scenom przypatruje, albo oburzony w swem wnętrzu tylko, nie wkracza przeciw nadużyciom.

Istnieje błędne mniemanie, jakoby nieodzownym warunkiem do wystąpienia przeciw winnemu, była karta legitymacyjna członka Tow. ochrony zwierząt.

Jest to zapatrywanie mylne.

Kto się oburza i gorszy dręczeniem zwierzęcia — a nie ulega wątpliwości, iż ma to miejsce u każdego inteligentnego i statecznego człowieka — jest upoważnionym do wystąpienia i doniesienia władzy o przekroczeniu.

Przyznajemy, iż niemiłą jest niekiedy rzeczą wdawać się w wymianę zdań z brutalnym woźnicą lub innym tego rodzaju oprawcą i otrzymywać stek ordynarnych zwrotów i odpowiedzi,

czasem nawet ku uciesze widzów, biorących w obronę gwałtownego sprawcę, to też w takich razach nie jest wskazanem bezpośrednie wkraczanie. Należy dobrać sobie, jako świadków, kilku statecznych widzów, udać się za przestępcą i oddać go w ręce stojącego na posterunku żołnierza policyjnego. Jeżeli żołnierz nie spełni umotywowanego należycie zadania (i to bowiem czasem zdażyć się może) należy zanotować sobie numer widniejący na jego ryngrafie i uczynić pisemne doniesienie przeciw niemu i przeciw winnemu dręczenia zwierząt wprost do Dyrekcji policji.

Niestety zaniedbuje wielu spełnić ten obowiązek poczucia ludzkości z tego powodu, że chce uniknąć ambarasu stawania przed władzą policyjną lub sądową, to jednak nie powinno wchodzić w rachubę wobec rozsądku i serca człowieka mającego pretensję do nazwy „inteligentnego". Jeden trud w tym kierunku wydaje obfite nieraz owoce.

Z wszystkich stworzeń, służących do użytku człowieka, jest u nas w kraju, najnieszczęśliwszym koń. — Pieszczony w zaraniu życia swego, jako mały źrebak bujając swobodnie po pastwiskach i łąkach staje rychło potem do znojnej, twardej a bezkresnej pracy, wlecze dniami i nocami ciężary, ponad miarę sił swoich i potrzeb swego jestestwa, nie otrzymując w zamian od niewdzięcznego człowieka obok nędznej strawy nic więcej prócz cięgów i batów.

Z jakimże to fizycznym wysiłkiem, z jaką nieraz męką dla zwierzęcia jest połączone nawet trenowanie okazałego wyścigowca, który później pada niejednokrotnie z złamaną nogą, lub ginie tknięty apopleksją z powodu gwałtownego wyczerpania sił swoich ostatka. A ten piękny koń zaprzęgowy przy lśniącej karocy czyż nie jest dręczony rzemienną uprzężą, która zmusza go do trzymania głowy w sztucznej pozycji nie odpowiadającej jego budowie ciała, do znoszenia okularów na oczach i kaleczącego w gębę i język wędzidła? A te silne popręgi ściągające podbrzusze wierzchowców, te wędzidła munsztuki, te lonże, gruchocące nożdrza kawecany, czyż nie jest to przedpiekle dla rumaka, który pozornie tak pięknie wygląda a w gruncie rzeczy tak wiele wycierpieć jest zmuszony?

Po kilku latach tej stosunkowo lepszej doli przechodzi koń do cięższej jeszcze pracy i pod sroższe katusze, bądź to wlecze przeładowane ciężarami wozy, bądź pędzi dniem i nocą

w zaprzęgu fiakierskim a bat jest nieodstępnym towarzyszem jego ciężkich godzin pracy. Nie słyszy on nigdy łagodnego słowa, jakiegoś objawu ludzkiej przychylności, lecz zawsze tylko grzmiący krzyk i razy bata lub kułaka między oczy.

Na stanowisku fiakrów posuwa się zaprząg za zaprzęgiem naprzód, ilekroć razy frontowy wehikuł odjedzie z gośćmi. Konie wyuczone postępują same bez wezwania gdy ujrzą lukę między swem stanowiskiem a przednim pojazdem. Wszystko dobrze jak długo odpowiada to życzeniu woźnicy; biada jednak koniowi gdy w danym razie woźnica ma inne zamiary. Wpada on w pasję, wrzeszczy na konia, a często poczęstuje go kułakiem między oczy. A za co? Za to, że koń nie był prorokiem, że w tym wypadku nie odgadł odmiennej, od zwyczajnego trybu, woli swego władcy.

Inny przykład.

Wóz piekarski lub fabryki wody sodowej, rozwozi towar po sklepach i staje co kilkadziesiąt kroków. Wyuczony praktyką koń rusza z miejsca ilekroć razy zauważy, iż woźnica oddawszy towar wsiada na kozioł. Jeżeli się jednak zdarzy, iż woźnica nie skończył jeszcze swojej konferencji z sklepikarzem, zatrzymuje konia — a następnie chcąc ruszyć w dalszą drogę, wali od razu z całej siły batem — a za co? Za to, że koń nie był prorokiem, nie odgadł, że dopiero teraz nadeszła chwila, w której jego władca życzy sobie dalszej jazdy.

Znów inny przykład.

Wieczorem wracają fury rozwożące cegły i kamienie do domu. Przed studnią stają by napoić konie, które palone pragnieniem wyciągają łby do putni. I wtedy zniecierpliwiony woźnica zamiast łagodnego upomnienia, krzyczy na nie i wali pięstukiem po nozdrżach i oczach.

Obserwując postępowanie fiakrów i furmanów spotykamy co chwilę zjawiska, w których otrzymują konie jedynie dlatego baty od swych panów, iż nie odgadują ich myśli, nie przewidują proroczym duchem ich pragnień i żądań. A przecież we wszystkich tych razach wystarczyłoby jedno zawołanie na konia lub trącenie go z lekka lejcem.

Na tego rodzaju ludzkie traktowanie konia nie jest atoli w stanie zdobyć się bezmyślny woźnica.

Ileż to razy można zauważyć, że woźnica podcina batem bez przerwy pędzącego rączo konia, a podcina go jedynie

z nawyczki bezmyślności, nie wie bowiem co robić z tym trzymanym w ręce batem, i nie zdolen jest pojąć, że koń odczuwa ból przy takiem podcinaniu.

Nie przykrywanie koni kocami w zimie, nie dostarczanie im w stosownej chwili karmy i wody, nie baczenie by konie na ślizkiej drodze miały wkręcone w podkowy ostre ocyle, by szleje i chomąty były odpowiednie i nie naciskały konia lub co gorsze, nie kaleczyły go, obcinanie ogonów, wszystko to jest codziennem u nas zjawiskiem, iż nie potrzebuje bliższych komentarzy.

Najstraszniejszym objawem dzikiej brutalności woźniców jest katowanie koni przy ciężarowych wozach, przy wywożeniu gruzu i ziemi na placach budowlanych, przy rozwożeniu węgla, cegieł, kamieni, drzewa itp. Wtedy pęka skóra pod razami batów, chrzęszczą kości pod razami drągów, wtedy wybija się niejednokrotnie oczy niewinnemu zwierzęciu i łamie się mu czasem nogi.

Jeżeli pociągowy koń, nie może podołać zadaniu to w 99 wypadkach na 100 jest winnym woźnica, względnie jego pan. Albo ciężar wozu, albo grząska droga przewyższają siły konia, albo koń jest źle podkuty, albo chory, albo w końcu dolega mu uprząż. Nad tem wszystkiem nigdy woźnica się nie zastanawia, lecz bezmyślnie i bezlitośnie własną winę odbija z całą pasją na koniu.

Charakterystyczny na powyższy temat wypadek utkwił mi w pamięci z lat mego dzieciństwa.

Pojechałem z śp. ojcem na jarmark do oddalonego o trzy mile Stryja, gdzie kupił ojciec nową uprząż, zamiast używanych dotychczas półszorków — chomąty. Gdyśmy wyruszyli z powrotem spostrzegł ojciec, iż woźnica ubrał konie w nową uprząż, a półszorki schował pod kozioł bryczki.

„Źle zrobiłeś“ — rzekł ojciec do woźnicy — droga po ulewach jest ciężką, a konie nie nawykłe do chomątów będą się męczyć.

Jak długo jechaliśmy bitym gościńcem szły konie dość lekko i rączo, lecz gdyśmy na boczną, prywatną zjechali dróżynę, poczęły się naciągać, aż w końcu stanęły w kałuży.

Furman ściągnął je batem, więc zaczęły rwać i szarpać każdy koń w inną stronę.

— „A co nie mówiłem ci — zawołał zirytowany na furmana ojciec — teraz niema rady. Zamiast bić konie zleź z bry-

czki, zdejm z nich chomąty, załóż półszorki, a zobaczysz, że nas wyciągną bez bicia z kałuży.

Nie bardzo wielką ochotę miał woźnica złazić w grząskie błoto, lecz uległ rozkazowi, przemienił uprząż, poczem niby nowy duch wstąpił w biedne konie, ruszyły naraz z miejsca wyciągnęły z łatwością bryczkę z matni.

Jakże rażąco różni się od powyższego wypadku zdarzenie, jakie miało miejsce w kwietniu br. we Lwowie, w którym był koń straszną ofiarą bezmyślnych ludzi.

Padło nieszczęśliwe konisko na ulicy Batorego i nie mogło podnieść się z ziemi. Wtedy furman począł przy pomocy drugiego oprawcy okładać w najstraszniejszy sposób razami leżące bezsilnie zwierzę. Widok przejmował zgrozą przechodniów, lecz ich interwencja wręcz przeciwny w ździczałych instynktach wywoływała skutek. Dopiero znużenie bijących powstrzymało ich od dalszego katowania konia. I oto co się pokazało. Nie mniej nie więcej tylko to, że koń mając złamaną nogę nie mógł, choćby go i na miejscu ubito, podnieść się z ziemi. Oddano go oprawcy i dopiero na drugi dzień, na polecenie dyrektora miejskiej weterynarji, skrócono przez zgładzenie jego męki.

Lecz czyż nie zasłużył na surową karę woźnica, który nie zastanawiając się walił, grzmocił i katował w swem idjotycznem zaślepieniu niewinne stworzenie?

W opisanym wypadku poniósł współwinę żołnierz policyjny Nr. 52, który odmówił swej interwencji, o jaką zwróciła się do niego jedna z obecnych pań, członek Towarzystwa O. Z. Naturalnie, nie omieszkało Towarzystwo odstąpić sprawę przełożonej komendzie żołnierza.

Wiele złego ma miejsce z tej przyczyny, iż woźnice zmieniają się jeden po drugim, koń przechodząc z rąk do rąk nie może nałożyć się rychło do żądań i nawyczek swego władcy. Każdy z tych furmanów przerabia go na własną modłę, a każdy zwykle pod hasłem: „ja mu nasolę, ja mu dam szkołę“— Więc nasolają bez litości i dają szkołę stworzeniu, które nie może się bronić, ani uskarzyć, ani pożalić.

Jeżeli utarł się zwrot w naszej mowie „iście psia dola“ to czyż nie możemy straszny los stworzenia nazwać również mianem „iście końskiej doli“?

Wiele dałoby się snuć jeszcze na powyższy temat, lecz dość tych ponurych obrazów barbarzyństwa ludzi, przejdźmy do konkluzji.

Aby wyplenić złe musi podnieść się wydatnie poziom oświaty ludu, poziom jego humanitarnych i etycznych poglądów. Sprawa to jednak wielu lat dziesiątek, jeżeli nie setek jeszcze pracy na tem polu. Tymczasem powinny władze w dobrze zrozumianym interesie społeczeństwa, choćby tylko z punktu ekonomicznego i z punktu publicznego bezpieczeństwa, spowodować zakładanie kursów powożenia i dopuszczać do obowiązków woźniców tylko tych ludzi, którzy złożyli odnośny popis i dali dowody teoretycznej i praktycznej w tym kierunku wiedzy. Dalej powinny władze w książkach robotniczych i służbowych zaprowadzić specjalną rubrykę kwalifikacji dla furmanów p. t. „umiejętność powożenia i pielęgnowania koni". Co głównie powinny inteligentne i odczuwające istniejące zło sfery z całym naciskiem i energją spełniać obowiązek publicznej opieki nad tak użytecznem, a tak strasznie katowanem nieraz zwierzęciem.

Walne Zgromadzenie G. T. O. Z.

37 z rzędu odbyło się w ratuszu w dniu 20. kwietnia 1913 pod przewodnictwem prezesa p. Adolfa Mussila.

Zagajając obrady uwiadomił przewodniczący o śmierci członków Towarzystwa Stanisława hr. Badeniego i Aleksandra Marescha, a zebrani uczcili ich pamięć przez powstanie.

Na wniosek dr. Z. Motylewskiego odstąpiono od zamiaru odczytania protokołu z zeszłorocznego walnego zgromadzenia, protokół ten bowiem był drukowanym w »Miesięczniku« i rozesłany wszystkim członkom.

Z porządku odczytała sekretarka p. Marja Mazurkówna sprawozdanie wydziału jak następuje:

»Miniony rok 1912 możemy nazwać korzystnym dla rozwoju naszego Towarzystwa, tak w kierunku wielostronej akcji, jak i na polu sympatji zdobytej wśród szerokich kół społeczeństwa.

Nie zasklepiając się w ciasnych granicach wyłącznego biadania nad dolą dręczonych jednostek, nie nużąc społeczeń-

stwa naszego objawami przeczulenia, skierowaliśmy tak działalność naszą, jak i propagandę krzewioną za pośrednictwem naszego »Miesięcznika« na szerszą arenę. Budujemy od dołu od podwalin, a budowa ta piękne wydaje owoce. Zabiegi dążące do zakładania Kółek przyrodniczych wśród młodzieży szkolnej, nie pozostały bezowocnymi. Przeszło 30 zakładów szkolnych posiada już takie Kółka, rozkrzewia naszą ideę, a wiele z nich zalicza się do prenumeratorów »Miesięcznika«. Jako zdobycz musimy uważać nawiązane stosunki z instytucją Skautów. Setki dzielnej młodzieży skautowej spełniając zbożne czyny, zalicza do nich i działalność w kierunku naszych wysiłków. Z komendą Skautów mienimy nasze czasopisma.

Omawialiśmy już niejednokrotnie w poprzednich rocznych sprawozdaniach, przyjazny stosunek nasz do Towarzystwa Łowieckiego, którego tyciąc kilkaset członków zaopatrzonych w legitymacje popiera nasze zabiegi.

W roku minionym zrealizowaliśmy dalszą myśl dążącą do krzewienia opieki nad zwierzętami. Oto wprowadziliśmy w użycie bezpłatne legitymacje dla tych osób, które nie należąc z rozmaitych powodów do składu naszego Towarzystwa, działają i pragną działać pomimo tego na korzyść naszej instytucji.

Gorliwego poparcia doznajemy ze strony Okręgowego Towarzystwa w Stanisławowie, które idąc ręka w rękę z nami, rozwija na swem terytorjum nader żwawą i skuteczną akcję. Dla tego Towarzystwa stoją też otworem łamy naszego »Miesięcznika«.

Nie możemy, niestety, powiedzieć tego samego o Towarzystwach, jakie istnieją ponoś w innych miastach, o ile słyszeliśmy w Krakowie i Samborze. Postępowanie tych towarzystw niewyjaśnione. Nie pretendujemy o hegemonię i pozostawiamy każdemu Towarzystwu swobodę działania, jako Towarzystwo - Macierz jednak, noszące nazwę »Galicyjskiego« a więc działającego na cały kraj, powinniśmy otrzymywać przynajmniej od czasu do czasu sprawozdania w celu umieszczania w naszym »Miesięczniku«.

Z pomiędzy członków naszych zamiejscowych, musimy podnieść gorliwą działalność pani Jadwigi Lazarewiczowej w Stebniku.

Prasa lwowska udziela nam z całą uprzejmością swych łamów, a c. k. Dyrekcja Policji od czasu objęcia steru przez

radcę, a naszego członka honorowego p. Dra Reinländera, rozwija nader energiczną czynność na polu kwestjonowania nadużyć ustaw o ochronie zwierząt. Rok 1912 notował 231 karanych wypadków wykroczeń. Duch ten udziela się i żołnierzom straży policyjnej, a że w dodatku premiujemy gorliwych żołnierzy, baczą oni ochotnie na usuwanie nadużyć. Wykazy c. k. Komendy straży policyjnej stwierdzają w r. 1912 u plutonowego Dymitra Mandziuka 19, u plutonowego Antoniego Hajnosza 26, u plutonowego Filipa Babycza 27, u kaprala Władysława Słobodziana 29 wypadków pociągnięcia winnych dręczenia zwierząt do odpowiedzialności.

Myśl karmienia w zimie ptaszków, zatacza w mieście coraz to szersze kręgi, a mieszkańcy wyświadczają nam z każdym rokiem większe na tem polu przysługi.

Jak zwykle otrzymaliśmy i w minionym roku dwie subwencje z Sejmu i z Rady miejskiej po 200 K. Fundusże nasze nie pozwalają nam jednak jeszcze wydawać „Miesięcznik“ — jak poprzednio — co miesiąca; a szkoda, wielka szkoda, gdyż działalność pisma tego jest nader użyteczna.

W minionym roku braliśmy udział w obradach antiwiwisekcyjnych Towarzystw ochrony zwierząt, jakie toczyły się w Bernie, a delegatem naszym był ks. Blum z Ossingen w Szwajcarji.

Na wystawę rybacką we Lwowie delegowaliśmy sekret. p. Mazurkównę, która poczynione spostrzeżenia ujęła w formę artykułu umieszczonego w »Miesięczniku«.

Działalność nasza w kierunku wkraczania w wypadkach poszczególnych nadużyć, odnosiła się, jak zwykle, głównie do katowania koni na placach budowlanych, na dworcu towarowym, przy rozwożeniu opału, wkraczaliśmy też w kwestję braku napisów na wozach ciężarowych i w sprawie nieludzkiego traktowania zwierząt, przeznaczonych do wiwisekcji, a trzymanych w tym celu w zamknięciu w gmachu medycznym. Odnosiliśmy się w tej sprawie do rektora Dra Becka, nie otrzymaliśmy atoli żadnej odpowiedzi.

Nader trudną jest dla nas do usunięcia kwestja sprzedaży śpiewających ptaszków na placu Strzeleckim i wyłapywania ich zwłaszcza w okolicy Pohulanki. Nikt z członków nie chce narażać się na brutalność ze strony zgromadzonych licznie a rozwydrzonych ptaszników, otoczonych gawiedzią uliczną

i apaszami, a i akcja żołnierzy policyjnych i wywieszenie przez magistrat tablic z zakazem sprzedaży ptaszków, nie doprowadzają do pożądanego celu. Tam potrzebaby całego zastępu dozorców, ostrego karania winnych, lub — uświadamiania i cywilizowania młodzieży. Może kiedyś nasi następcy będą szczęśliwszymi w swoich w tym kierunku zakiegach, mając już lepiej obrobiony grunt serc ludzkich, pod zasiew naszych idei.

Do spraw niezałatwionych należą:

1) Brak lokalu dla Towarzystwa. Magistrat niemając stosownych ubikacyj odmówił naszej prośbie.

2) Nieprzeprowadzone wykłady z demonstracjami dla uczniów szkół lwowskich. Profesor Bayger uproszony w tym kierunku o wykłady, zajęty innemi prelekcjami, zwłaszcza na temat powstania styczniowego, nie mógł na razie wywiązać się z obietnicy.

3) Dyżur inspektorów miejskich dla ochrony zwierząt.

Sprawa ta poruszona przez p. Warchałowską, a przez nas ogłoszona w „Miesięczniku“ i innych czasopismach, nie znalazła chętnych. Nikt się nie zgłosił do tej uciążliwej służby.

4) Szkoła powożenia. Przy konferencjach odbytych w tym kierunku, tak w Dyrekcji policji, jak i w Magistracie okazały się niepokonalne na razie trudności.

Na umieszczenie w Magistracie i w komisarjatach dzielnic skrzynek zażaleń, otrzymaliśmy od p. prezydenta Neumanna pozwolenie, przez wydelegowaną w tej sprawie panią Steczkowską.

Sekretarjat załatwił w minionym roku 92 spraw w drodze pisemnej.

Kończąc nasze sprawozdanie nie możemy pominąć objawu radości, iż nasz czcigodny, zasłużony prezes p. Adolf Mussil został w bieżącym roku zamianowany honorowym członkiem Stanisławowskiego okręgowego Towarzystwa ochrony zwierząt“.

Po przemówieniu do zebranych żołnierzy policyjnych ze strony wiceprezesa p. Józefa Białyni Chołodeckiego, przystąpiono do rozdania nagród, które otrzymali w wysokości po 5 koron plutonowi Filip Babycz, Dymitr Mandziuk, Antoni Hajnosz, Bazyli Hewak, Piotr Kochany, tudzież kaprale Władysław Słobodzian, Mikołaj Lubońkij, Harasym Krupa, Jakób

Lewkun i Teodor Korostil, w końcu trzej strażnicy plantacyj miejskich.

Skarbnik p. Aleksander Sciborski odczytał:

Zamknięcie rachunkowo - kasowe.

Przychody.

1. Pozostały z r. 1911 stan kasy . . .	408·12
2. Wkładki członków zwyczajnych . . .	1.048·65
3. Subwencje otrzymane od :	
a) Sejmu krajowego	200·—
b) król. stoł. miasta Lwowa	200·—
4. Datki członków Towarzystwa łowieckiego (jednorazowo)	164·18
5. Datki na zakupno karmy dla ptaków, nadesłali: PP. Motylewska Marja, Szczepańska Wanda, Swiniarska Franciszka i Orzechowicz Bolesław, razem	16·80
6. Datki na schronisko i wóz ratunkowy nadesłały: PP. Brückowa Eugenia, hr. Kalinowska Jadwiga i Popławska Marja, razem	57·60
7. Datek na nagrody dla straży nadesłany przez JW. Panią hr. Kalinowską Jadwigę	15·—
8. Odsetki dopisane do książeczek gal. Kasy oszczędności za r. 1912 Nr. 34.762, 155.858 i 155.859, razem	28·14
9. Różne przychody	48·57
Suma przychodów .	2.187·06

Uwaga.

Na wóz ratunkowy i schronisko złożyły od r. 1909 do wł. 1912: PP. Brückowa 5 K 20 h., Cieńska 20 K, Deszkiewiczowa 10 K, Dittner i Liceum 6 kl. niem. 45 K 70 h., Faściszewska 2 K, Freundowa 2 K, Gostyńska 10 K, hr. Kalinowska 50 K, Popławska 25 K,

Ringlerowa 2 K, Semenowiczowa 40 K, i Swiniarska 5 K 20 h., razem . . .	239·10
Do tego odsetki narosłe .	7·54
Razem .	246·64

Rozchody.

1. Drukarnia Piller i Neumann za Miesięczniki wydawane w roku 1912 i inne druki	834·—
2. Wydatki na administrację i ekspedycję	105·—
3. Wydatki na karmę dla ptaków, koszta kancelaryjne i nagrody dla straży	263·58
4. Prowizja dla kolektora za zbieranie wkładek	124·32
5. Wkładki do Towarzystw: Łowca, Świata zwierzęcego, Wiwisekcji w Gracu i wkładka udziałowa na kongres w Zurychu .	38·65
6. Wydatki na sporządzenie i doręczenie dyplomów dla członków honorowych .	64·84
Suma rozchodów .	1.430·39
Pozostały końcowy stan kasy .	756·67
Zrównanie z przychodami	2.187·06

Uwaga.

Z pozostałego zapasu kasowego w kw. 756·67 przypada:

a) na schronisko i wóz ratunkowy kwota	246·64
i b) na ogólne wydatki kwota . . .	510·03

We Lwowie dnia 31. grudnia 1912.

Adolf Mussil m. p. *Aleksander Ściborski* m. p.

Za komisję rewizyjną, która powyższe zamknięcie sprawdziła i za zgodne uznała.

Henryk Treter m. p.

Na wniosek członka komisji rewizyjnej, p. Marji Motylewskiej udzielono wydziałowi absolutorjum z rachunków za rok 1912.

Nie mogąc być osobiście na walnem zgromadzeniu przysłał pan Marceli Fischer pisemne sprawozdanie z zarządzonego w zimie 1912 3 karmienia ptaków w ogrodach publicznych lwowskich.

Materjał: 200 kilo mięszanki (siemię, owies, proso).
„ 100 „ pszenicy dar p. Zofii Daysy Sokołowskiej.
Razem 300 kilo.

Wydano: a) dla ogrodu jezuickiego w dn:ach 5 XII, 20|12, 21|XII, 1912. — 4 I, 7|I, 27 I, 11|II, 22|II, i 1|III 1913 łącznie 66 klgrm.

b) dla wysokiego zamku w dniach: 6|XII, 14|XII 1912, 5 I, 15 I, 25|I, 2 II, 12|II i 5|III 1913 łącznie 71 klgrm.

c) dla parku łyczakowskiego w dniach: 14|XII, 20|XII, 1912 łącznie 14 klgrm.

d) dla parku stryjskiego w dniach: 14|XII, 20|XII. 10|I 20|I, 25|I i 12|II łącznie 45 klgrm.

e) dla ogrodu akademji weterynarji w dniach: 29|I 1913 łącznie 20 klgr

Razem łącznie 216 kilo.

Pozostaje na składzie łącznie 84 kilo.

Celem intenzywniejszego karmienia zaproponował p. Fiszer, by gorącem pismem wezwać właścicieli większych ogrodów do urządzenia własnym kosztem ptaszników na zimę (Tow.: strzeleckie, OO. Franciszkanie, O. Karmelici, S. Benedyktynki, Tow. św. Wincentego a Paulo, ogród botaniczny, namiestnikowski i t. p.).

Z referatu p. Józefa Białyni Chołodeckiego wygłoszonego imieniem wydziału, zamianowano honorowymi członkami Towarzystwa pp. Aleksandra Ściborskiego i Oskara Kreysera we Lwowie, Jana Gołębiowskiego i Ferdynanda Wiszniewskiego w Stanisławowie, tudzież prof. dr. Juliusza Szalkaya w Budapeszcie, niestrudzonego pracownika w kierunku naszej idei, który święcił właśnie 70 rok swych urodzin.

Przystąpiono do wyborów. Skrutynium przeprowadzone przez pp. Helenę Ziękiewicz, dra Edwarda Solańskiego i Jana Kubessę wydało następujący wynik:

Prezes: Mussil Adolf. Zastępcy prezesa: Chołodecki Białynia Józef, Dybowski Tadeusz. Sekretarka: Mazurkówna Marja, Zastępca sekretarza: Dr. Motylewski Zygmunt. Skarbnik: Ściborski Aleksander. Wydziałowi: Janowicz Władysław, Koerber Ludwik, Mniszek Bużenin Albert, Rybowski Mikołaj, Steczkowska Irena. Zastępcy: Czajkowski Edmund, Fischer Marceli, Kępieński Zygmunt, Kubessa J. Franciszek, Motylew-,

ska Marja. Komisja szkontrująca: Rein Gabrjel, Targoński Paulin, Treter z Lubomierza Henryk.

Na tem zamknął przewodniczący obrady.

Józef Białynia Chołodecki.

Profesor dr. Juliusz Szalkay.

W dniu 27. kwietnia b. r. święciła stolica Węgier niezwykłą uroczystość siedemdziesiątych urodzin wielce zasłużonego, znanego w kraju i za granicą filantropa i przyjaciela przyrody profesora dr. Juliusza Szalkaya.

Szalkay był pierwotnie profesorem szkół średnich w Felsölövö, przebywał następnie z polecenia ministerstwa oświaty na dalszych studjach w południowych Niemczech, ogłosił cały szereg naukowych prac pedagogicznych i rozpoczął przed czterdziestu już laty swą humanitarną pracę nad zakładaniem stowarzyszeń. Jako przyrodnik założył nasamprzód w Temesvarze „Południowo-węgierskie Towarzystwo przyrodnicze“ następnie „Węgierskie Krajowe Towarzystwo antialkoholiczne“ w końcu „Sekcję światowego Związku dla opieki nad zwierzetami i przeciw wiwisekcji“.

Praca na polu filantropijnem, etycznem i humanitarnem zjednała mu rychło mir i uznanie wśród szerokich kół społeczeństwa a 16 zagranicznych Towarzystw ochrony zwierząt, między innemi Kraków, Stockholm, i położone daleko na południowej półkuli Kapstadt, zaliczyło go w poczet swych członków honorowych.

Wspomniany na wstępie jubileusz nastręczył i Galicyjskiemu Tow. Ochrony zwierząt sposobności do uczczenia zasług Szalkaya i zamianowania go swym członkiem honorowym.

Wysłane do niego odnośne pismo opiewało w polskim i węgierskim języku: „Jaśnie Wielmożny Panie! Wielce sympatyczna uroczystość jaką święcą pokrewne nam Towarzystwa węgierskie nastręczyła nam miłą sposobność do zamianowania JWPana w uznaniu niespożytych zasług

Członkiem honorowym.

Zawiadamiając o tej dycyzji Walnego Zgromadzenia z dnia 20 b. m. składamy JWPanu serdeczne życzenia, aby w jak najdłuższe lata mógł pracować w czerstwem zdrowiu dla krzewienia umiłowanych idei. Łączymy wyrazy wysokiego poważania i szacunku.

We Lwowie dnia 20. kwietnia 1913. Adolf Mussil prezes, Marja Mazurkówna sekretarka, Józef Białynia Chołodecki zastępca prezesa i redaktor „Miesięcznika".

Uradowany jubilat przysłał w odpowiedzi na ręce podpisanych na liście z 20. kwietnia 1913 członków Prezydjum G. T. O. Z. serdeczne podziękowanie wraz z swoją podobizną, pod którą widnieją wypowiadane przez niego sentencje, między innymi zdanie:

„Ludzkość musi stać się religją każdego człowieka, a wtedy znikną: tyraństwo, wojna, wiwisekcja i zhańbianie".

Pocieszający objaw.

Redaktor „Miesięcznika" otrzymał następujące pismo:

Boczów, dnia 18. maja 1913 r.

Jaśnie Wielmożny Panie!

Redakcja „Kurjera lwowskiego" wskazała mi JWPana, jako osobę, która może mi udzielić bliższych informacyj co do tow. dla Ochrony zwierząt. Ośmielam się tedy prosić JW. Pana o łaskawe przesłanie mi statutu odnośnego tow. oraz o podanie warunków co do wpisania się w poczet członków tegoż towarzystwa. O ile towarzystwo wydaje swój własny organ, prosiłbym o numer okazowy.

Jestem gorącym zwolennikiem idei, której wyrazicielem jest tow. ochr. zw. i dlatego za obznajomienie mnie ze sprawami Sz. Tow. byłbym niezmiernie wdzięczny. Za szacowną odpowiedź już z góry dziękując, kreślę się z należnym szacunkiem.

Grabowski Antoni.
włościanin z Boczowa 18
p. Łapanów

Jest to nader pocieszający objaw, iż idea nasza znajduje szlachetnych zwolenników wśród sfer ludowych, zasiewane

przez nas wśród trudnych nieraz warunków ziarno nie idzie na marne. Oby tylko p. Grabowski jak najwięcej znalazł naśladowców. Tą myślą przejęci ogłaszamy powyższy list w łamach naszego czasopisma.

Olga Bilińska.

Kiedy słowik spiewa.

Idź duszo smutna w wiosny wieczór cichy,
Gdy ziemia do snu ułoży się cała,
Kwiat rośny stuli pachnące kielichy,
Pacierze szeptać będzie brzoza biała,
A złom księżyca lodowy i złoty
Na Ciebie rzuci tęskny czar pieszczoty:

Gdzieś w gaje ciemne. Cudny tryl ptaszyny
Odrodzi Ciebie. Do marzeń zawoła.
W tę noc majową wśród sennej olszyny
Najgorszy smutek zdejmie z Twego czoła,
I gamma tonów przywabi sen śnieżny,
Na harfie serca kojąc ból bezbrzeżny.

Słowik królewski tworzy niepojęte
Melodje cudne. Z muzycznej powodzi
Rzuca słuchaczom swe dary zaklęte,
I pieśń najczystsza, którą serce rodzi,
I w cichym gaju on dusze pociesza,
Nowe marzenia, nowe gwiazdy wskrzesza.

On śpiewem swoim dziwny spokój czyni,
On co jest trylem bajecznie rozrzutny,
Wprzęga w swe hymny i wiosnę mistrzynię,
I kwiatów wonie i to co jest smutne,
I łączy ptasia ta dusza skrzydlata
Niebiański błękit, ze szarzyzną świata.

Ci co szukają przy księżyca błysku,
Straconych blasków i szczęścia miłości,

Błądząc samotnie po tem uroczysku,
Godziny znajdą pełne wśród radości,
Kiedy im słowik swą pieśnią otworzy:
Sezamy uczuć, tęcze nowej zorzy.

Józef Białynia Chołodecki.

Mistyfikacje.

W ostatnich czasach zdarzyło się kilka drastycznych wypadków, w których obrali sobie niegodni denuncjanci Gal. Towarzystwo ochrony zwierząt jako przedmiot mistyfikacji, wprowadzili je nieuzasadnionymi donosami w błąd i spowodowali bezpodstawne dochodzenia naruszające w rezultacie powagę instytucji i znaczenie jej misji.

Z kilku zdarzeń tego rodzaju pozwolimy sobie dwa bliżej opisać.

Oto otrzymał niedawno członek Wydziału G. T. O. Z. p. Marja Motylewska zażalenie, że w kamienicy... pozbierał syn dozorcy całą gromadę małych psów, które morzy głodem, dręczy i katuje. P. Motylewska udała się na miejsce dla sprawdzenia faktu, lecz jakież było jej zdziwienie, gdy w oznaczonym domu dozorcy znalazła jednego pieska, dobrze pielęgnowanego i w najlepszym humorze.

Przed miesiącem nadeszło doniesienie z Krakowca, iż tamże używa przewoźnik N. N. poranionego konia którym ku zgorszeniu publiczności wykonuje ciężkie roboty. G. T. O. Z. odniosło się do c. k. Starostwa w Jaworowie, które z całą uprzejmością poleciło zbadanie sprawy posterunkowi żandarmerji w Krakowcu. I oto znowu okazało się, iż zakwestjonowany koń jest, jak to stwierdził zresztą miejscowy oglądacz bydła, zupełnie zdrowym i dobrze odżywianym.

W obu powyższych wypadkach rozchodziło się widocznie donosicielom o dokuczenie nie G. T. O Z. lecz tym, przeciw którym było skierowane doniesienie.

Czy jednak tak być powinno? Czy instytucja humanitarna i etyczna jest od tego, by jej zbożna praca była wyzyskiwaną dla niegodnych celów?

Zwracamy na tę niewłaściwość uwagę naszych członków, iżby działali przezornie i spełniając swą misję nie padali ofiarą mistyfikacji.

Dr. Andrzej Berezowski.

Hodowla zwierząt domowych w Polsce przedrozbiorowej.

Wobec braku ścisłych materjałów naukowych, tyczących się początków hodowli zwierząt domowych w Polsce, zmuszony jestem pozostawić w tym przedmiocie niejedną lukę, którą zapewne przyszłe badania wypełnić zdołają.

Przedewszystkiem nasuwa się pytanie, jakie gatunki zwierząt domowych istniały w Polsce przedhistorycznej. Na pytanie powyższe rzucają pewne światło poszukiwania archeologiczne, dokonane w cmentarzyskach i jaskiniach przedhistorycznych. Dzięki badaniom Ossowskiego i Czarnowskiego wiemy, że w jaskiniach okolic Ojcowa, w okresie kamienia gładzonego istniały konie, bydło rogate, świnie, owce, kozy i gęsi. W okolicach Lublina znaleziono szczątki bydła rogatego, świni i owcy, w Płockiem — szczątki bydła rogatego, a w Kieleckiem — szkielet konia, co wskazuje na istnienie na tych ziemiach w czasach przedhistorycznych powyższych zwierząt domowych. Na podstawie poszukiwań Ossowskiego w jaskiniach okolic Krakowa stwierdzić można, że istniały tam ongi konie, bydło rogate, świnie, owce, kury i kaczki. W Poznańskiem i Prusach królewskich, według Ossowskiego, znaleziono w grobach skrzynkowych szczątki konia. Z prywatnego listu dra Niezabitowskingo wiem, że koło Miłosławia wydobyto czaszkę kozy, pochodzącą z czasów osad nawodnych. Na Ślązku, według Segera, w grobowiskach z epoki kamienia gładzonego znaleziono szczątki bydła rogatego i owcy, nie natrafiono zaś wcale na kości konia. Poszukiwania Talki-Hryncewicza, Demetrykiewicza, Ossowskiego, Rulikowskiego, Brezy, Neymana i Bydłowskiego na ziemiach ruskich, wykazały przedewszystkiem wielką ilość szczątków konia w kurhanach ukraińskich. Na Podolu znaleziono także szczątki owcy. Na podstawie powyższych badań archeologicznych

stwierdzić zatem można, że w Polsce przedhistorycznej istniały następujące zwierzęta domowe: koń, bydło rogate, świnia, owca, koza, kura, kaczka i gęś.

Z kolei rzeczy nasuwają się następujące zagadnienia: jak wyglądały te zwierzęta domowe, oraz gdzie i kiedy były one oswojone. Przedewszystkiem przystąpię do pierwszego pytania, dotyczącego wyglądu tych naszych przedhistorycznych zwierząt domowych. Zaczynam od konia. O ile dotychczas zbadać mogłem, kości konia, znalezione na ziemiach polskich, a pochodzące bądź z czasów dyluwialnych, bądź też przedhistorycznych, mają wszystkie wybitne cechy typu konia wschodniego, czyli gorącokrwistego, zupełnie niezależnie od przypuszczalnego wzrostu tego konia i jego budowy, która mogła być dość rozmaita w rozmaitych częściach kraju. Wzrost i budowa konia przedhistorycznego, którego kości znaleziono w jaskiniach okolic Ojcowa lub w kurhanach ukraińskich, sądząc z tych pozostałych kości, były nadzwyczaj podobne do wzrostu i budowy współczesnych koni włościańskich, jakie n. p. w okolicach Puław, lub w niektórych zakątkach Ukrainy obecnie spotykamy. Prawdopodobnie były to konie nizkiego wzrostu, lecz krępej i mocnej budowy, zwinne i bardzo wytrwałe. W Polsce przedhistorycznej, pokrytej puszczą i moczarami, tylko takie konie mogły być pożyteczne. Zapewne były one ongi najbardziej rozpowszechnione, a w niektórych miejscowościach dotrwały do chwili obecnej. Maść tych koni była, prawdopodobnie najczęściej kasztanowata lub też siwo-myszata z pręgą czarną na grzbiecie. Wskazują na to następujące dane. W kurhanie ryżanowieckim na Ukrainie znaleziono pęk rdzawej sierści końskiej. Dalej, według Rzączyńskiego, koń dziki, złapany w pierwszej połowie XVIII. wieku nad Dnieprem był maści kasztanowatej. Wreszcie, według, Brinkena, potomstwo koni dzikich. chowane tu i ówdzie u włościan w Polsce, było stale maści siwo-myszatej. Wydaje mi się zaś bardzo prawdopodobnem, że nizkorosły przedhistoryczny konik polski był właśnie taki, jak konie dzikie, bardzo u nas rozpowszechnione nawet w zaraniu historycznego istnienia Polski.

Przechodząc do opisu bydła rogatego, należy się zwrócić do badań nad współczesnemi, pierwotnemi rasami bydła rogatego, na ziemiach polskich chowanego. Dotychczas mamy

dokładniejsze wiadomości o dwu wielkich grupach pierwotnego bydła rogatego, przechowywanego w Polsce od wieków bez żadnych zmian. Do pierwszej grupy — typu turzego (priminegius) — należą wszystkie odmiany bydła siwego stepowego, rozpowszechnione na południowych kresach ziem polskich. Drugą grupę stanowią rasy typu krótkorogiego (brachyceros), poznanie których zawdzięczamy przedewszystkiem studjom Adametza i Kleckiego. Grupa ta obejmuje odmiany bydła czerwonego polskiego, rozpowszechnionego w Galicji zachodniej, bydła czerwonego śląskiego, bydła nadbużańskiego, prawdopodobnie także bydła świętokrzyskiego. (C. d. n.).

Hagenbeck i jego przedsiębiorstwa.

W kwietniu b. r. zmarł Karol Hagenbeck, właściciel wielkiej menażerji w Stellingen pod Hamburgiem. Urodził się w Hamburgu w r. 1844, jako syn handlarza ryb i zwierząt. W 22. roku życia objął interes ojca i rozwinął go do wielkich rozmiarów. W r. 1893 zawiózł menażerję swą na wystawę międzynarodową w Chicago, gdzie otrzymał złoty medal. Był prawdziwym przyjacielem zwierząt, umiał z niemi postępować, a menażerja jego w Stellingen, wzorowo urządzona, cieszyła się światową sławą. Twierdził, że „dzikich“ zwierząt wogóle nie ma. Wszystko zależy od sposobu obchodzenia się z niemi. Za najbardziej inteligentne zwierzę uważał morsa. W Stellingen jeden z morsów dzwonił na obiad, czynność tę spełniał punktualnie, nigdy nie sprawiając zawodu. Za najniebezpieczniejsze zwierzę uznawał białą panterę syberyjską

Zapytany kiedyś, czy mając ciągle do czynienia z dzikiemi zwierzętami, nigdy nie znalazł się w niebezpieczeństwie życia, odparł jowialnie:

— Raz tylko groziła mi utrata życia. O mało nie przejechała mię lokomotywa, do której się nieostrożnie zbliżyłem. Ale od dzikich zwierząt nie doznałem nigdy krzywdy. Naprawdę niebezpieczne są tylko ludzkie wynalazki.

Hagenbeck był twórcą i „królem“ handlu dzikich zwierząt nietylko w Niemczech, ale i w całym świecie. Był on właściwie pierwszym, który na wielką skalę prowadził eks-

port dzikich zwierząt z krain podzwrotnikowych do Europy.

Pogrzeb Hagenbecka odbył się w Hamburgu przy tłumnym udziale publiczności. W zastępstwie cesarza Wilhelma złożył pruski ambasador v. Bülow na trumnie zmarłego wieniec z białego bzu i fiołków parmeńskich. W orszaku pogrzebowym znajdowali się między innymi: włoski konsul generalny hr. Giachi jako reprezentant ogrodu zoologicznego w Rzymie, generalny konsul Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, konsul Brazylji, senatorzy, uczeni i wiele wybitnych osobistości. Wielotysięczny tłum odprowadził zmarłego na miejsce spoczynku. Trumna znikała pod stosami wieńców i liści palmowych, którymi ją zarzucono. Nad grobem przemówił pastor Petersen, serdeczny przyjaciel zmarłego. Kapela wojskowa z Altony grała Beethovena symfonię „Eroica“ i pieśni żałobne z „Saula“ Händla. Obchód pogrzebowy był imponujący. Miało się wrażenie, że umarł jakiś wielki mąż stanu, któremu cały naród przyszedł hołd złożyć. A to tylko spoczął w ziemi na sen wieczny Hagenbeck, mały, zeschły człowiek, który ukochał dzikie zwierzęta i odnalazł w nich dusze.

Doświadczenie jego na tym terenie nie da się podobno wprost zastąpić.

Eksport tego rodzaju przedstawia dla handlarza zawsze duże ryzyko, gdyż różnice temperatury, wpływy klimatyczne, trudności racjonalnej hodowli zwierząt podczas transportu wiele przyczyniają się do tego, że najpiękniejsze i najbardziej wartościowe okazy giną w drodze; stąd też ceny szczęśliwie do Europy doprowadzonych zwierząt są bardzo wysokie. Tak np. cena młodej żyrafy w Chartum, albo w Kassali, na najruchliwszych wschodnio-afrykańskich targach zwierząt, wynosi około 2000 mk., podczas gdy w Europie dochodzi do 5000 nawet do 20 000 marek. Młodego lwa nabyć można w Afryce już za 100 mk., w Europie cena jego podnosi się do 1000 — 2500 mk. Za słonia płaci się w Afryce około 1300 mk., za granicą minimalna cena wynosi 10.000 mk. Lamparta nabyć można w Afryce niemal za bezcen; w Europie z powodu nader uciążliwej jego hodowli, cena jest niemniejsza od 500 mk. Bardzo trudne jest schwytanie żywego nosorożca. Polowanie połączone jest z niebezpieczeństwami, gdyż samica nigdy nie zostawia młodych samych bez opieki. Prócz tego utrudnia polowanie brak wody w Sudanie, tak, że nosorożce są na targu

miejscowym dość rzadkie. W Chartum kosztuje wskutek tego nosorożec co najmniej 3000 mk., w Europie cena jego dochodzi do 20.000 mk. Podobna różnica jest i co do hipopotamów. Krokodyle dorosłe kosztują w kraju 100 mk., w Europie 1000 mk., taka sama jest cena dorosłych strusi.

Firma Hagenbecka przeważnie nie zakupywała zwierząt na targach, lecz we wnętrzu Afryki zachodniej utrzymywała własne stacje, gdzie zwierzęta pozostawały przez całe miesiące, aż czas i klimat odpowiadał warunkom transportu. W czasie podróży przestrzegana jest dla zwierząt ścisła dyjeta. Przedewszystkiem gromadzi się na długo zwykle trwającą podróż, owoce rodzimych lasów w wielkiej ilości. Szczególną trudność przedstawia żywienie słoni. Przyzwyczajone do strawy zielonej, pastewnej, niechętnie spożywają konserwy lub suchy pokarm. Daje się im ryż zawinięty w liście bananów; źle odżywiane zwierzęta zapadają na wodną puchlinę, która zwykle kończy się śmiercią. Dla antylop i małych hipopotamów sprowadza się z Europy dobre siano i skrzynie mleka skondensowanego; żórawie giną w drodze, jeśli nie dostają żywych małych ryb, których tysiące wiezie się dla nich na okręcie. Również wiele trudu sprawia transport żywności dla zwierząt drapieżnych. Mięso, które im się daje, musi być na okrętach przechowywane w osobnych chłodniach. Zanim je zwierzęta otrzymają, należy to mięso dobrze ogrzać, by zapobiedz chorobom. Nie wszystkie jednak okręty posiadają chłodnie; w takim razie zaopatrzyć się musi ekspedycja w transport żywych zwierząt, owiec i wołów, które się w drodze zabija, by dostarczyć drapieżcom odpowiedniego pokarmu.

Mimo tak troskliwych starań ginie jednak w drodze znaczny procent zwierząt. Tak np. Hagenbeck jeszcze przed rokiem z transportu 18 antylop otrzymał w Hamburgu tylko 3; z 5 hipopotamów dojechały 3; przy poprzednim transporcie z 16 hipopotamów zginęło 12; innym razem z 18 tapirów zakupionych na Sumatrze zachował się tylko jeden przy życiu. Ostatnie transporty które przybyły do Hamburga miały skład następujący: z Indyj 20 antylop, trzy niedźwiedzie i kilka mniejszych dzikich zwierząt, wartości ogólnej 5000 mk. Kapitan Johansen najdzielniejszy ajent Hagenbecka, przyprowadził z Assam 3 słonie i duży transport dzikich zwierząt wartości 21.000 mk. Z Australji przybyło niedawno 33 kangury, 2 niedź-

wiedzie, 40 czarnych łabędzi, wartości 40.000 mk. Transport z Abisynji obejmował: 150 pawianów, 6 hyjen, tuzin antylop i gazeli, 6 dromedarów, 400 ptaków i kilka abissyńskich zwierząt domowych wartości 18.000 mk. Z Japonji nadeszło 16 rzadkich żórawi, koreański orzeł, 5 japońskich salamander, 6 małp.

Jeden z najciekawszych transportów z ostatnich czasów obejmował: 4 wschodnio-afrykańskie hipopotamy, 11 zebr, 10 antylop, dalej małpy, szakale i zbiór owadów najbardziej rzadkich rodzajów, dla świeżo założonego pawilonu owadów.

Stanisław Nowiński.

Zwierzęta
w podaniach, życiorysach, i pamiętnikach.

(Ciąg dalszy).

Psy w walce z najezdnikami.

Lata 1282 pisze Bielski w Kronice polskiej, Litwa z ostatki Jaćwierzów wtargnęła do lubelskiej ziemi, którą, rozdzieliwszy się na troje, piętnaście dni wojowali, a tak wielki poczet ludzi pobrali. Leszko Czarny sądził natenczas szlachtę w Krakowie, lecz gdy się tego dowiedział, wyjechał z trzaskiem z Krakowa, a jako najrychlej mógł, z ludem ciągnął do lubelskiej ziemi, ale już byli precz wyciągnęli, z czego był zasmucony, rozmyślał sam w sobie, co czynić miał, czyli gonić nieprzyjaciela, których było czternaście tysięcy, a on i połowinę tego ludzi nie miał, czyli wrócić do domu. A wtem rozmyślaniu ukazał mu się w nocy przez sen św. Michał upominając go, aby bez żadnej bojaźni nieprzyjaciela gonił, obiecując mu pomoc. Nazajutrz Leszko wezwawszy rycerstwo do siebie, powiedział im widzenie swoje. Więc zostawiwszy wozy, i strawę sobie na koń na kilka dni wziąwszy, puścili się za nieprzyjacielem, goniąc go między rzekami, Narwią a Niemnem, 13. października. Albowiem, że się łupem obciążyli, nie mogli spieszno iść. Gdy ich postrzegli, jęła się zrazu trworzyć Litwa, ale im Jaćwigowie serca dodawali i radzili się potykać, bo tego oni nigdy nie mieli w zwyczaju, aby uciekać. Leszko Czarny na-

pomniawszy krótko swoje rycerstwo, aby każdy z nich dla swej wiary chrześcijańskiej, dla ojczyzny, żon i dzieci, gardła dać nie żałował, potykał się w imię boże z nimi, potykali się i oni z naszymi nie źle, jednak trudno im było nasz huf przełamać: albowiem, że pole ciasne było, które lasy w koło okrążyły, w jeden hufiec Leszko wszystkich uszykował, zaczem silni byli i poczęli ich przemagać a więźniowie też nie źle pomagali, którzy porozwiązywawszy się prędko, z tyłu w nie uderzyli, uczyniwszy okrzyk, tak chłopi jako i białogłowy, które by też były nie biły, tedy samem wołaniem serca naszym dodawały, a nawet psi sami, którzy byli zabiegli za gospodarzami swymi, kąsali je, jako nieprzyjacioły swe, którzy też i kilka dni przedtem wszystkie wyły, czując podobno swoich. Tak przełamani i potrwożeni zewsząd będąc, jęli pierzchać i do lasów się blizkich kryć, nas w pogoni ich siekli i z lasów wywodzili, zwłaszcza więźniowie, którzy na nie mieli serce wielkie, aż noc wszystkich zakryła.

Następnego roku w miesiącu październiku zasię Litwa przypadłszy do sendomierskiej ziemie, niespodziewanie korzyść wielką osiągła; brali; palili; a nie był się im kto oprzeć, albowiem szlachcie trudno było tak prędko wziąść się do kupy, co na zamkach i zameczkach swych siedzieli patrząc z żałością co się dzieje. A natenczas w Krakowie Leszek Czarny wieca sądził; gdy mu tedy dano znać o tem, porwał się zaraz z dworem swoim i z szlachtą wszystką, która natenczas była na wiecach, bieżeli dniem i nocą ku Sandomierzu a drudzy Krakowianie z domów swych za nim się pospieszyli. Sandomierzanom także dano wprzód znać, aby się coprędzej obsyłali i do Sandomierza zjeżdżali. A gdy się już ściągnęli pod nieprzyjaciela, pogaństwo dowiedziawszy się o nich jęło uchodzić do lasu blizkiego, który był nad Łukowem a tam weszli w radę, coby czynić. Pomyśleli o ucieczce, jeno, że im żal było łupów i planu tak wielkiego odbieżeć, przeto nie wiedząc, jako inaczej, uradzili bitwę zwieść. Także plon wszystek w lesie zostawiwszy i więźnie lepiej skrępowawszy, wypadli z trzaskiem z lasu i z wielkim pędem i okrzykiem na naszych uderzą. Poczęli się nasi z przodku nieco trworzyć przeto, że jeszcze nie gotowi byli i widzieli ich wojsko wielkie; jednak gdy ich Leszko

w skok sprawił i napomniał, aby się tą ich wielkością nie trworzyli, wstąpiło w nie wnetże lepsze serce.

Na dwa hufce rozdzieleni, dwu sprawców mieli: Żegotę herbu Topor krakowskiego a Janusza herbu Janina sandomierskiego wojewodę, z których każdy swój hufiec pilnował. A sam też Leszek na wszystko miał pilne oko i gdzieby trzeba było wszędzie posiłki dawał. Wszakże nie długo było onej ochoty nieprzyjacielskiej. Albowiem acz dosyć rzeźwo z przodku się potykali, ale o nasze wojsko, jako o mur właśnie się uderzyli i to tylko o jeden hufiec, w którym byli Krakowianie z Żegotą swym wojewodą; przeto jęli wnetże o sobie wątpić, co widząc drudzy, co wprzód zostali, skoczyli w lasy rozsypką, gdzie kto mógł. Nasi zabiegłszy do lasu plon im odbili i więźnie rozwiązali, którzy kilka dni ich szukając ze psy, po lesie imali i zabijali, oddawając im to sowicie, co im też oni uczynili.

Wiadomość osobista. Niestrudzoną sekretarkę G. T. O. Z. i współpracowniczkę naszego „Miesięcznika“ p. Marję Mazurkównę i jej rodzeństwo, nawiedził ciężki cios. W dniu 16. czerw. zgasł po długiej niemocy jej ojciec Daniel, sędziwy emeryt, a w dniu 18. tm. odprowadziło grono przyjaciół i znajomych zwłoki jego na cmentarz Łyczakowski. Oby tych kilka słów głębokiego współczucia były kroplą ukojenia dla córki, bolejącej straty ukochanego rodzica.

Przystąpili do Towarzystwa. P. T. Strzelecki Aleksander, Dr. Barański Antoni, Dr. Barański Wandalin, Miziewicz Stanisław, Lwów. Pennar Jakób, Wojnarowski Wojciech, Ulatowski Adolf, Grzyb Kazimierz, Grzyb Stanisław, Świerżb Zygmunt, Nowy Sącz. Dzierzanowska Marja, Wiedeń. Drozd Stanisław, Tarnów. Jaworski Tadeusz, Chilczyce p. Biały-kamień. Zarząd Szkoły ludowej w Wołszynowie p. Stary Sambor. Grabowski Antoni, Boczów p. Łapanów.

Kalendarzyk łowiecki. W czerwcu wolno polować na rogacze, od 16. czerwca zaś na ptactwo wodne. Innych gatunków zwierzyny łownej sprzedawać nie wolno.

Nakładem gal. Tow. ochr. zwierząt. — Druk. i lit. Piller-Neumanna.